

Stanisław Wielgus

STWORZENI DLA SZCZĘŚCIA

Przychodzimy na świat z zakodowanym w nas pragnieniem szczęścia. Niezależnie od epoki, rasy, kultury, wyznawanej religii, każdy człowiek chciał zawsze i chce być teraz szczęśliwy. Poszukiwał i poszukuje przez całe swoje życie szczęścia. Nic więc dziwnego, że wszystkie systemy filozoficzne, jeśli tylko koncentrowały się na człowieku, jeśli tylko próbowały odpowiedzieć na dręczące go światopoglądowe pytania, z konieczności rozważały problem ludzkiego szczęścia. A każdy z filozofów, na pytanie: Po co żyje człowiek? – odpowiadał zgodnie – Aby być szczęśliwym. Ale na tej odpowiedzi kończyła się zgodność między różnymi filozofami i innymi ludźmi, podejmującymi problem ludzkiego szczęścia. Bo oto automatycznie rodzi ona pytanie następne, pytanie o zasadniczym znaczeniu, które brzmi: Gdzie tego szczęścia szukać? Co robić, jak postępować, w co wierzyć i jak żyć, aby być szczęśliwym? Na to pytanie było w historii myśli ludzkiej tak wiele odpowiedzi, że można by złożyć gruby tom z samymi tylko tytułami traktatów o szczęściu, które napisano, poczynając od starożytności, a na czasach współczesnych kończąc.

Epoki się zmieniają. Wraz z nimi zmieniają się warunki życia ludzkiego. Następuje niewyobrażalny dla dawnych pokoleń rozwój cywilizacyjny i naukowy ludzkości, a tymczasem serce ludzkie pozostaje takie samo, wiecznie niespokojne, pełne obaw i lęków, spragnione miłości, poszukujące szczęścia. Niepoprawne serce ludzkie. Od tysięcy już lat daje się zwodzić tym wszystkim przewodnikom, którzy mu wmawiają, że szczęścia należy szukać wyłącznie tu i teraz, i że może mu je przynieść jedynie zmysłowa rozkosz, władza nad innymi, sława i podziw w oczach tłumów, uroda, bogactwo, ludzka mądrość, czy ludzka, człowiekowi tylko służąca cnota. I od tysięcy już lat, ciągle na nowo, każdy kto poszedł za tymi wskazaniem, chociażby udało mu się osiągnąć owe rzekomo szczęściodajne dobro, wcześniej lub później przekonywał się z całą wyrazistością, że to była pomyłka: że to, co właściwe, za czym naprawdę tęskniła cała jego istota, to jeszcze nie przyszło. I każdy taki człowiek, jeśli tylko jest szczery wobec siebie, gdy zbliża się kres jego życia, być może pełnego zaznanych rozkoszy, bogatego w ludzkie uznanie, nasyconego władzą i bogactwem, mówi po prostu: nie było warto. Zmarnowałem daną mi szansę.

Nikt, nigdy, nie znał człowieka tak jak Chrystus – wszystkich jego słabości i jego niewyobrażalnej godności jako stworzenia i dziecka Bożego. On – Bóg, który sam stał się człowiekiem. Tylko On był w stanie pokazać człowiekowi jedynie liczący się w życiu cel. Tylko On mógł mu pokazać sens jego doczesnego życia, sens cierpienia, walki ze złem i sens śmierci. Tylko On był w stanie wyznaczyć mu właściwą hierarchię wartości, w której jest miejsce na wszystko. I na chleb powszedni. I na ludzką miłość. I na to, co nazywamy szczęściem ziemskim. Przede wszystkim jednak na to, co decyduje o szczęściu wiecznym, które jest jedynym przeznaczeniem człowieka.

Chrystus nigdy nikogo nie oszukał, nigdy nikogo nie rozczarował. Nikogo, kto mu bez reszty zawierzył. Chrystus nikomu nie obiecywał rajy na tym świecie. Bo Chrystus jest realistą. Bo wie, że taki raj nie jest tu możliwy, że raz na zawsze został utracony. Bo wie, że ziemskie życie – to czas próby, czas cierpienia, zwątpień, choroby, lęku, najróżniejszych zagrożeń, starości i nieuniknionej śmierci.

Od tysięcy lat ludzie się łudzą, że jednak możliwy jest, już tu na tym świecie, powrót do świata, w którym będzie panować niezakłócone szczęście, wieczna młodość, uroda, zdrowie, nieustająca rozkosz, a być może nieśmiertelne życie doczesne. Złudzenia te rozpowszechniali niezliczeni uszczęśliwiacze ludzkości – twórcy najróżniejszych sekt religijnych oraz utopii – politycznych, socjalnych i ekonomicznych. Kłamstwa te doszły do zenitu w najbardziej chyba nieracjonalnym wieku, jakim jest wiek XX, z jego obłądnymi totalitaryzmami, wróżbiarzami, astrologami, zbrodnicznymi sektami; z jego negacją Boga osobowego, transcendencji i nadnatury; z jego szatańskim terroryzmem i kompletną degradacją człowieka, sprowadzonego do kupy rozpadającego się białka, degradacją – o paradoksie – spowodowaną przez ustawicznie czynione próby deifikacji tegoż człowieka, który bogiem nie jest i na boga się nie nadaje. Jeśli człowieka wyrwie się z tego miejsca, które w kosmosie wyznaczył mu Bóg, jeśli wzgardzi on Bożą Wolą, jeśli odrzuci Dekalog i Kazanie na Górze, to zginie na wieki. Przepadnie jak biblijna trawa, która dziś żyje, a jutro usycha, i wrzucana jest do ognia.

Nie ma innych wskazań, jak naprawdę osiągnąć szczęście, poza tymi, które wypowiedział Chrystus w Kazaniu na Górze. Błogosławieni cisi, miłosierni, pokój czyniący, prześladowani dla sprawiedliwości. Tylko tacy mogą być błogosławieni, tzn. szczęśliwi. Innej drogi nie ma.

Nie można się ograniczać do intelektualnego kształcenia młodzieży. Musi ciągle na nowo podejmować próby uczynienia ją świętą, a przez to prawdziwie szczęśliwą. Jest to olbrzymia odpowiedzialność spoczywająca w sposób szczególny na nauczycielach akademickich, zwłaszcza duchownych. To ogromnie trudne zadanie. Aby innych prowadzić, trzeba samemu pracować nad sobą. Nie można innych uczyć pokory, jeśli samemu się jest okazem pychy. Nie można innych uczyć właściwej hierarchii wartości, jeśli samemu jest się zatopionym bez reszty w doczesności. Nie można innych uczyć ofiary, jeśli nas samych nie stać na jakąkolwiek, najmniejszą nawet ofiarę dla bliźnich. Nie można innych pouczać o tym, jak należy czynić pokój wśród ludzi, jeśli sami pe-

dzimy swoje życie od konfliktu do konfliktu, jeśli serce nasze jest jak kipiący złością i pryskający nią na wszystkie strony kocioł. Nie można uczyć prawdy i uczciwości, jeśli sami prześlizgujemy się przez życie przy pomocy kręactw i już dawno zatarło się w nas poczucie dobra i zła, kłamstwa i prawdy. Nie możemy uczyć innych życzliwości i miłości, jeśli kochamy tylko siebie i tylko sobie bez trudu wybaczymy wszystko, najgorszą nawet nieuczciwość, podczas gdy dla innych zawsze jesteśmy bezwzględnyimi sędziami.